

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.
Wkładka roczna członka 10 koron = 10 m rek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.
Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

ODEZWA.

Zwracamy uwagę Szanownych Delegatów i Członków naszych, że na mocy § 37 ustawy łowieckiej, od dnia 15. grudnia kuropatw w restauracyach, składach, na targach i w jakikolwiek inny sposób sprzedawać nie wolno i prosimy Ich usilnie o każdorazowe energiczne interweniowanie u właściwych władz w razie stwierdzonych nadużyć.

Również upraszamy Delegatów naszych, by ze względu na klęskę w zwierzostanach, spowodowaną ostatnią ostrą zimą, pilną zwracali uwagę na sposób wykonywania polowania i na stan zwierzyny w powierzonych Swej pieczy rejonach, i przedkładali władzom wnioski o zamknięcie polowania (§ 35 c. ust. łow.), gdzieby to uważali za potrzebne.

Borsuk czyli jaźwiec.

(Males taxus, Taxus vulg., der Dachs).

(Dokończenie.)

Polowanie na borsuka z psami, przedstawia daleko większą przyjemność, niż zasiadka, ale też wiele cierpliwości, a więcej jeszcze pracy wymaga. Zupełnie identycznie postępujemy, jak polując na lisa — tylko tu prawie nigdy psy nie zdołają borsuka sforsować do wyjścia z jamy, lub go wyciągnąć, co z lisem się zdarza. Najlepiej tylko jednego jamnika foxteriera puścić do jamy — więcej psów zbyteczne, a nawet szkodliwe. Rury nie są tak obszerne, by dwa psy obok siebie atakowały borsuka, więc jeden drugiemu przeszkadza i często się zdarza, że między sobą wojnę prowadzą; albo nie mając swobody w ruchach, wychodzą z walki z borsukiem pokaleczone silnie.

Nie będę tu pisać o jamnikach i foxterierach, o ich układaniu i zachowaniu się na polowaniu na lisa lub borsuka — to znane Czytelnikom „Łowca“.

Polowanie z psem na borsuka nazwać powinniśmy właściwie wykopaniem (d. Graben) borsuka z jamy.

Ten sposób polowanla skutecznym jest w jesieni; na wiosnę lub w lecie, gdy mamy z matką z młodemi do czynienia, jest ona straszną w obronie swych młodych, wtedy psy formalnie rozszarpuje. W jesieni, po godach weselnych, (bo i podczas nich, borsuk pomimo z natury flegmatycznego usposobienia, jest zajadłym i wściekłym formalnie), to czas wskazany do kopania, polowania na borsuka.

Do wykopania borsuka trzeba: dwu, lub trzech ludzi do kopania, łopaty, big czyli czaganów, oraz siekiery do obcinania korzeni napotkanych w ziemi. Jeżli chcemy borsuka dostać żywcem, potrzeba prócz wymienionych narzędzi: obcęgów o długich ramionach, by nimi wyciągnąć go z jamy. Potrzebnym jest także silny postronek, worek i kijak do zakneblowania pyska. Strzelbę naturalnie trzeba mieć ze sobą.

Do jamy puszczamy jednego psa, drugiego, jeżeli chcemy n. p. młodego przyuczyć, dopiero po dobre chwili, gdy pierwszy zaatakuje borsuka.

Nadsłuchujemy dokładnie, gdzie pies atakuje; po kilku minutach, czasem dłużej, gdy się upewnimy, że pies borsuka zapędził do gniazda, lub przytrzymuje w rurze, przystępujemy do kopania, w ten sposób, by fosą długości 1·5 do 2 m., a 0·5 m. szerokości, do psa, a lepiej do miejsca między psem a borsukiem się dostać. Dokopując się do psa, uważać, by go łopatą lub siekierą nie skaleczyć. Zobaczywszy psa, wyjmujemy go z rury, a borsukowi albo w łeb strzelimy, albo go obcęgami wyciągamy, kneblujemy pysk i związawszy do worka chowamy.

Nie zawsze jednak tak prędko borsuka się dostanie. Gdy go pies zaatakuje i przytrzyma w właściwem gnieździe, to jeszcze najkrótsza droga; gdy w chodniku, w rurze, to często się zdarza, że proceder kopania drugi, trzeci raz powtórzyć trzeba, bo borsuk zobaczywszy nad sobą niebezpieczeństwo, rurami chce się do gniazda dostać, gdzie czuje się bezpieczniejszym. Ale i w samem gnieździe zaatakowany, nie daje za wygrane, bo przyparty, zagrożony utratą życia, stara się zagrzebać, t. j. z szaloną szybkością kopie nową rurę, wyrzucając za siebie ziemię tak że w jednej chwili między nim a psem, wał ziemi powstaje. Ale krótki to ratunek, bo przy pomocy łopat prędko go odgrzebiemy.

Do wykopania borsuka musimy wczas rano. t. j. około godziny 11-tej, przystąpić, gdy on z żeru do domu powrócił — a to dlatego wcześnie, bo nie można przewidzieć, jak długo około tej pracy, w każdym razie żmudnej, zabawimy. Przerywać, odkładać ukończenie wykopania, na drugi dzień nie można, na nic się nie zda najtroskliwsze zatkanie rur — przez noc borsuk wykopie sobie nową rurę, lub rozkopie zatkaną. Postawienie warty i ognia, też nie zawsze skuteczne.

Rozumie się, że wykopanie borsuka tylko w lekkim i równym terenie mieć miejsce może; gdzie skały, tam absolutnie nie można kopać; na uboczach, gdy rury (do 4 m. i głębiej) prowadzą, praca się nie opłaca. Na uboczach tylko na zasiadkę, z psami lub żelazkami, pomyślny rezultat osiągniemy; w skałach, zasiadka lub żelaza, bo też psa nie jest wskazane puszczać, często się zdarza, że pies w „labiryncie“ rozpadlin tak się zabłąka, że wyjść nie może i głodową śmiercią ginie.

Ważnem jest i pamiętać o tem należy, przy wykopywaniu borsuka, żeby od chwili puszczenia psa do jamy, aż do ukończenia kopania, przynajmniej jeden strzelec był w pogotowiu do strzału. Często się zdarza lisa zastać a i w czasie rui borsuczej dwa i więcej może być w gnieździe.*) Lis prędzej wynosi się z jamy, ale borsuk dotrzymuje i broni się zaciekle przed psami, jak wyżej wspomniano, nadzwyczaj rzadko zdarza się go psami sforsować do ucieczki, ale się to czasem zdarza, trzeba być więc przygotowanym zawsze do strzału; gdy dwa lub więcej borsuków jest w gnieździe, gdy pies się z jednym zabawia, drugi tymczasem się wymknie.

Najmniej pracy i cierpliwości wymaga łapanie borsuka w żelaza. Zastosowujemy żelaza: stopkowe (Tellereisen), karkowe (deutsche Schwanenhalseisen mit d. Haarstellung) albo żelaza t. z. uniwersalne (Universal-Abdruck u. zugleich Abzugeisen).

Nie opisuję tu tych żelaz, gdyż każdy z Szan. Czytelników opis ich znajdzie w cenniku Webera lub Grella, fabrykantów w Haynau na Śląsku pr.

(Ja używam wszystkich żelaz z fabr. E. Grell, więc podaję, że żelaza odpowiednie na borsuka są: Nr. 13 a, 126 c, Nr. 8 i Nr. 10).

Ustawianie żelaz na borsuka nie wymaga tak wielkiej ostrożności i pieczołowitości, jak żelaz na lisa, w każdym razie im dokładniej ustawimy, tem rezultat pewniejszy.

Żelaza te, są silniejsze niż na lisa, bo też i borsuk jest znacznie silniejszym zwierzem.

Przed ustawieniem żelaz przekonać się. czy jama zamieszkała, jak wyżej opisano, uprzątnąć najbliżej stojące kamienie, korzenie, lekko zruszyć ziemię na ścieżce i dopiero w kilka dni nałożyć żelaza.

Ile jest rur wychodnych i wchodowych (wyślizganych), tyle trzeba żelaz nastawić. Inne rury dobrze jest, kamieniami doskonale zatkać, by borsuk słysząc szmer na zewnątrz przez ostrożność inną rurą, jak zwykle wychodzi, nie uszedł. Można też wewnątrz, przed zatknięciem rur, włożyć białą szmatkę lub papier, umaczane w nafcie lub t. p. by borsuk obok nie chciał nowej rury wykopać, ale wyszedł, gdzie ustawiono żelaza.

Przekonawszy się, że borsuk w domu, zatkawszy zbędne rury, ustawiamy żelaza. Na wyślizganych ścieżkach, przy rurze, wycinamy w ziemi miejsce wielkości żelaza, tak głęboko, by ono znalazło się poniżej powierzchni ziemi, t. j. ścieżki. Żelazo tak ustawiamy, by go borsuk ani obejść, ani przeskoczyć nie mógł. Jeżeli otwór rury szerszy od żelaza, ustawić dwa ściśle obok siebie, lub silnymi palikami i kamieniami zwężyć otwór rury. Sprężyna zamykająca ramiona żelaz, ma być w z d ł u ż ścieżki ułożoną. Pod żelazem ułożyć deszczułkę lub kamyki, by przy zamknięciu żelaza, sprężystość zmniejszyć — gdy nie zrobimy tego, bardzo często ramiona żelaz źle chwytają, za sam koniec łapy, tak, że borsuk z łatwością uwolnić się może. Ułożywszy w ten sposób żelazo, przykrywa się je na 1 cm. ziemią, tą samą, którą z dołka wybraliśmy i możliwie robimy, by ścieżka jak poprzednio wyglądała. Na łańcuch, na którym żelazo przymocowane, wykopuje się ro-

---

*) Przed laty z śp. G. Głuchowskim, z jednej jamy podnieśliśmy: dwa lisy, dwa borsuki, prócz tego dwa lisy podpisany spudłował! Borsuków była para; lisów, matka i troje młodych.

wek **nie** na ścieżce, lecz obok, również przykrywa się go wydobytą ziemią do niepoznania.

Ułożywszy żelaza, trzeba też ślady wydeptane o ile możności pozacierać. Całą czynność też możliwie cicho wykonać.

Przy jamach w skalistym terenie, lepiej używać żelaz o sprężynie pod talerzem (Nr. 126 c), gdyż zdarza się, że borsuk uciekając z żelazem do jamy, oprze żelazo o ściany rury, a ciągnąc ku środkowi przez naciśnięcie zewnętrznej sprężyny, otworzy, rozchyli pióra i oswobodzi się. Użyć więc należy żelaza karkowego (Nr. 8 albo Nr. 10); w tym wypadku nie przy samym otworze rury, lecz dalej ustawia się je na ścieżkach w sposób wyżej opisany.

Młody borsuk złapie się często tego samego dnia, wychodząc lub wchodząc do jamy; stary ostrożny, słysząc nad sobą ruch, szmery, dopiero drugiego, nawet czwartego dnia w żelaza się dostanie, póki głód, a więcej pragnienie z gniazda go nie wypędzi.

Niektórzy polują na borsuka z nagonką, lub przy pomocy psów, gdy wyjdzie na żer. Przekonawszy się, że borsuk wyszedł z jamy, około północy, nad jamą rozpala się ogień, który utrzymuje się do białego dnia i u rur na patykach zawiesza się białe płótno lub papier — by odstraszyć borsuka od wejścia do jamy. Rano, ustawiwszy się niedaleko jamy (ogień zagasić, płótna pozdejmować) kilku chłopcami przepędza się rewir lub pole -- borsuk ruszony ucieka do jamy, ale tu pada od celnego strzału. Mając psa tropowca, puszcza się go na wychodny ślad borsuka, gdy pies go znajdzie, daje głos, wtedy lada jakie psy się puszcza poszczuwszy borsuka, którego przytrzymają, osadzą na miejscu i ułatwią ubicie go. Ten sposób polowania, choćby uwieńczony pomyślnym rezultatem, nie jest myśliwskim i nie do polecenia, gdyż się rewir czy pole niepokoi a inna zwierzyna na tem cierpi.

Nakoniec można łapać borsuka w sieci, zrobione z mocnego, nie zbyt grubego szpagatu, w kształt worka, 0·75 cm. obszernego, a do 8 m. długiego. Ten sposób jednak może być tylko połączonym z kopaniem borsuka, gdy sforsowany przez psy, chce się ucieczką ratować; albo przy polowaniu z nagonką.

III.

Jak widoczne z budowy ciała, sposobu życia i pożywienia, borsuk należy do zwierząt drapieżnych, mięsożernych (wyjątkowo żywi się roślinami), i nie może być dwu zdań, czy może lub powinien być szanowanym. Nie przeczę, że borsuk nie jest tak drapieżnym jak lis, ale gdyby posiadał lisią pasyę, chytrość i węch, byłby pewnie większym niszczycielem zwierzostanów. Gdzie są bażantarnie, kuropatwy, tam przedewszystkiem, bez względu, z całą zaciekłością tępionym być powinien. W Würtembergii i w nadreńskich okolicach, w latach ośmdziesiątych tak licznie borsuk się rozmnożył, że formalne klęski powodował tak w zwierzynie, jak w plonach; kilkonastomorgowe łany kartofel niszczył, a nawet winnice, tak, że urzędowo wypowiedziano mu zagładę i dziś w tych okolicach prawie nie istnieje. Na szczęście borsuk nie mnoży się tak jak np. lis, a z natury będąc samolubem, nie towarzyskim, nie zamieszkuje licznie rewirów i pól. Gdzie gęściej wsi, gościńce, koleje, tam go mniej — zachód więc prawie uwolniony od tego szkodnika, na wschodzie liczniej występuje.

Hodowcy myśliwi, w naszych stronach, we wschodniej Galicyi, powinni o tem pamiętać. Lis, borsuk, jastrzębie i bociany to u nas plaga, która jest w naszej mocy do zwalczenia — każdy więc hodowca nie powinien poskąpić trudów do ich zwalczenia.

Do hasła w „Łowcu“ „zagłada lisom“ dołączyć „zagłada borsukom“.

Na tem kończę mą nieudolną sylwetkę o borsuku, w nadziei, że mój głos nie pozostanie bez skutku t. j. bez zwrócenia uwagi na drapieżnika, o którym prawie zapomnieliśmy.

Zielona. *W. S.*

Przed zimą.

Myśliwy i strzelec to są pojęcia, które zawsze są brane jedno za drugie, tymczasem należy je ściśle od siebie odróżniać. Dobry myśliwy może być dobrym strzelcem, a dobry strzelec nie potrzebuje być wcale myśliwym. Myśliwy dba przedewszystkiem o materyał do polowania, o zwierzynę, a więc jest hodowcą, musi więc kochać zwierzynę, znać prawa hodowli i starać się o dobrobyt dla niej, o zabezpieczenie jej bytu. Sprawa to wcale nie łatwa, zważywszy, że tu chodzi o walkę z zimą, tą najcięższą porą dla zwierzyny, która sroga, dziesiątkuje ją bez miłosierdzia. Po takiej srogiej, ciężkiej zimie, jak była przeszłoroczna, dla strzelców żniwa niema, bo racyonalniej byłoby wcale nie polować, biorąc na uwagę, że ubytek zwierzyny był ogromny, że sarny te, co przezimowały, przeważnie poroniły, a luka taka w przyroście da się wygładzić dopiero przez szereg lat i to jeszcze warunkowo, jeżeli zimy będą łagodniejsze. Zaopatrzenie zwierzyny w paszę i karmę, odgartywanie śniegu z lizawek i robienie dróg po lesie, to są rzeczy niezbędne i konieczne dla utrzymania zwierzostanu. Niestety, u nas błąd ten robi się konsekwentnie, że za późno przychodzi się z pomocą. Zakładanie karmy należy zaczynać przed śniegami, aby zwierzyna miała czas przyzwyczaić się do tej nowości, aby wiedziała już naprzód, że gdy bieda, to tam jest stół zastawiony. Żołądek to piec naturalny, potrzebujący ciągle opału; póki zdrów, to cały organizm funkcyonuje. Jeżeli sarna wie o karmie i przyjmują ją regularnie, jeżeli chodzi do lizawek, nie potrzebując wyniszczać organizmu na wygrzebywanie i odkopywanie karmy zmarzniętej (choroba racic), a dokopawszy nareszcie, je zmarznięte pożywienia (choroby żołądka), to taka sarna przezimuje dobrze, bo natura obdarzyła ją futrem, które od zimna ochroni, hodowca zaś musi starać się o cieplik wewnętrzny pod postacią pożywienia, do którego przystęp jest łatwy.

Zima zeszłoroczna bardzo nierówno zachowała się w kraju, będąc stanowczo mniej względną dla wschodu, a nawet miejscami bezwzględną, niszcząc sarny i kuropatwy do tego stopnia, iż stała się powodem klęski poważnej. Tu wskazanem byłoby zaludnienie świeże, a więc sprowadzanie zwierzyny. Odświeżenie krwi, tak ważne w każdej hodowli, należałoby i tu zastosować, raz ze względu na brak, powtóre na degeneracyę zwierzyny. Przyznaję, że rzecz to i żmudna i kosztowna, ale innej rady niema. Albo się jest myśliwym, albo się nim nie jest. Nagroda za trudy zawsze jest w postaci tej, że puste knieje znów się zaroją od zwierza, a satysfakcya dla myśliwego to — jedyna.

Zwierzyna u nas zawsze jest jeszcze na drugim planie, a przecież mogłaby to być bardzo intratna gałąź gospodarstwa w kraju. Tu, gdzie tylu jest myśliwych, a więcej jeszcze amatorów polowania, gdzie niezwykle tęgie parostki i wieńce wabią gości zagranicznych, płacących niezwykłe sumy za odstrzelenie rogacza lub jelenia, powinno się znaleść więcej życia w tym kierunku, inicyatywy do działania pożytecznego. Przeto gorętsze i troskliwsze zajęcie się hodowlą, a także co za tem idzie, zajęcie się handlem zwierzyny na export, której inne kraje tyle wywożą po świetnych cenach.

Mieliśmy już nieraz sposobność przekonania się o tem, że zając i bażant najłatwiej zimuje, kuropatwa i sarna najtrudniej. Ale dlaczego tak jest? Bo zając mniejszy i lżejszy od sarny, łatwiej porusza się po zmarzniętej płaszczyźnie i łatwiej znajduje karmę, ruszając się więcej od sarny, w końcu kontentując się lada czem. Dlaczegóż zimą przy gościńcach i drogach tak łatwo z zającem spotkać się można? Bo on czyha tam na źdźbła z siana lub słomy, spadające z wozów, przejeżdżających na targi i jarmarki. Przed zimnem również uchronić się potrafi, kopiąc sobie jamy pod śniegiem, często kilka metrów, długie — tam siedzi i tam mu ciepło. Bażanty zaś dlaczego odporniejsze od kuropatw, bo kto je zapuścił, naturalnie dba o nie, nie chcąc ich stracić, bo wie, co go kosztowały, więc karmi i budki ma dla nich, drapieżców zaś tępi. Jeżeli będziemy zimować kuropatwy, łapiąc je na późnej jesieni a przynajmniej zaopatrzymy rewir w budki, karmić je i pamiętać o nich do wiosny, to nie będzie tego, co w tym roku, gdzie całe stada znajdowano nieżywe, nie z zimna, lecz z głodu, cieplika wewnętrznego nie było. Z sarnami to samo — nie pomoże bowiem zadawanie paszy w środku zimy, gdzie ta sarna już zbiedzona, nie ufając nowościom, nie śmie zbliżyć się do karmy, a nawet chodzić już nie może, mając ratki okaleczone albo przemarznięta, bo poruszać się nie może po lesie, zapadając się w zaspach śnieżnych, nie mając dróg porobionych. Tu rola hodowcy wdzięczna i pole pracy obszerne aż do wiosny.

A. S.

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Z większem staraniem oddają się na wybrzeżach plantacyom drzew kokosowych a wewnątrz kraju i drzew kauczukowych, ponieważ te produkty nadają się do eksportu. U podnóża Kilima Ndżaro, udaje się kawa a plantacye i handel tym towarem są w rękach Greków. Z roślin dziko rosnących zasługuje najbardziej na uwagę sansewiera, z wyglądu podobna do naszych szuwarów stawowych. Uzyskane z niej włókna są mocniejsze, niż konopiane i bywają używane do fabrykacyi lin okrętowych. Sansewiera rośnie zmieszana z krzakami liściastymi i kaktusowymi; w ich cieniu, a po ścięciu odrasta prędko. Roślina ta daje się bardzo we znaki myśliwemu polującemu na nosorożce, o ile bowiem jest miękką i podatną z boku, o tyle twardą i odporną na nacisk z góry. Przy gwałtowniejszym ruchu wbija się w ciało i mogłaby przebić jak miecz, podczas gdy z boku daje się ściąć najdelikatniejszym scyzorykiem.

Uległem sam pewnego razu temu przykremu doświadczeniu: kiedy przedzierając się pospiesznie przez krzaki, za tropem świeżym nosorożca, jakaś kolczasta roślina chwyciła za rzemień od strzelby i ściągała ją z ramienia, żachnąłem się, aby usuwającą się strzelbę złapać i przebiłem głęboko mięśnie ręki, tak, że musiałem skaleczone miejsce obwiązać. W B. E. A. jest już obecnie kilka poważnych przedsiębiorstw, trudniących się eksploatacyą sansewiery.

Ludność czarna, zamieszkująca prowincye B. E. A. nie jest jednolitą, składa się z licznych szczepów, które łatwo rozróżnić można po rysach, budowie ciała, ozdobach noszonych w uszach, w nosie, we włosach, na szyi i wreszcie i po nacinanych (dla piękności) bliznach na twarzy, piersiach i plecach. Ogólny rys charakteru krajowców odznacza się łagodnością i pobłażliwością, wcale nie podobnych do plemion odważnych i wojowniczych, zamieszkujących Sudan, mimo to, pojedyncze szczepy walczyłyby z sobą ustawicznie, aż do eksterminacyi, gdyby nie obawa przed karzącą ręką białych. Najbardziej arystokratycznym i dystyngowanym szczepem są Swahili, ich język jest więcej rozpowszechniony i chociaż każdy szczep ma swoją gwarę, zawsze jest w osadzie jakiś ,,bywalec“ który rozumie język Swahili Szczepy nie są sobie równorzędne, jeden jest „szlachetniejszy“ od drugiego i członek szczepu szlachetniejszego możliwie najczęściej przypomina to swoje pochodzenie. Oto przykłady: Kibriti ściąga skórę z antylopy, ale robota idzie mu bez pomocy niezręcznie, prosi więc obok bezczynnie stojącego Amiciego, aby potrzymał nogę antylopy. Na to wezwanie, Amici z dumą odpowiada, że jest Swahilim i nie będzie spełniał drugorzędnej roli. Przy tem mimika i wyraz twarzy były tak objaśniające odpowiedź, że wyrozumiałem dosłownie i tylko dla pewności kazałem tłumaczowi powtórzyć ją sobie. Innym razem zostawiłem przy upolowanej zwierzynie trzech ludzi i dałem polecenia, które części do obozu odnieść mają, a sam wybrałem się z resztą pogonki na dalsze łowy. Jeden z pozostawionych czarnych wysunął się do mnie mówiąc: ,,wszystko będzie zrobione jak każesz, bo ja jestem Swahili“. Przy czynnościach wymagających pomocy wszystkich ludzi, gdzie chodzi o pospiech, aby przed nocą robotę ukończyć n. p. przy ściąganiu skóry z nosorożca, roboty ręczne najtrudniejsze, czy też najgodniejsze n. p. rozkrojenie skóry, lub dobranie się do wątroby i wyjęcie jej, wykonywa Swahili. Jest szczep Wandorobbo, uważany za najniższy. Szczep ten jest par excellence myśliwskim, nie posiada stałych siedzib, żyje tylko z polowania i przemieszkuje pod drzewami lub na drzewach, z tego też powodu nie widzi się ich nigdzie grupami tylko pojedynczo. Spotkałem razu pewnego mniej dzikiego człowieka z tego szczepu, który wyraził gotowość prowadzenia mnie przez parę dni do miejsc obfitujących w zwierzynę. Gdy rzecz była już postanowioną, przystąpił do mnie muniampora (naczelnik karawany) Asmani, należący do szczepu Swahili i zapytał uroczyście, czy pozwalam na zatrzymanie Wandorobba w obozie i czy można mu dać ryżu. Na moją potakującą odpowiedź wskazał ruchem imperatywnym miejsce, gdzie Wandorobbo miał usiąść i czekać pierwszego posiłku, który mu podał do spożycia wspólnie z innymi. Było to jednak przywitanie, następnych dni biedny Wandorobbo, o ile nie był ze mną na polowaniu, przesiadywał

w kuczki na uboczy niby pies przed kuchnią i dostawał resztki żywności. W mojej drużynie nie było człowieka, z tak nikczemnego szczepu, żeby chciał i mógł bratać się z Wandorobbo.

Bardzo rozrodzonym i potężnym jest szczep Wakamba. Zajmuje się uprawą roli, ma bydło i tworzy całe wioski, poluje także w wielkiej tajemnicy przed władzami na wielkiego zwierza, nawet na nosorożce.

W pochodach moich trafiałem na bardzo oryginalne osady tego plemienia — domostwa czy raczej gniazda, umieszczone na drzewach i nakryte dachem słomianym.



Wewnątrz dwa lub trzy małe legowiska z chróstu i liśc Wchód do tych gniazd, umieszczonych na 4 do 5 metrów nad ziemią, jest karkołomny, bo tylko po konarach naturalnie rosnących; drobiu nigdzie nie spotkałem. Często pod drzewem zamieszkanem jest druga budka pół metra nad ziemią, na palach, sklecona z chróstu, na przechowanie plonów lub zdobyczy myśliwskich. Dalej rozciągały się bez jakiejkolwiek symetryi zasadzone przestrzenie najczęściej kukurydzą. Ludność zawsze uciekała przed nami, tak że cała osada wyglądała jak opuszczona.

Posyłałem kilkakrotnie pojedynczo moich ludzi dla zaciągnięcia języka co do zwierzostanu, lecz zawsze z niczem wracali, żadnego Wakamby przytrzymać nie zdołali.

Oryginalnym jest szczep Kikuju. Mieszkają oni koło drugiej największej góry, pokrytej podobnie jak Kilima-Ndżaro wiecznymi śniegami, koło Mnt. Kenia. Kikuju zatem są góralami. Oprócz bardzo dzikiego wyglądu, odróżniają się szczególnym sposobem umocowywania ozdób usznych. Ozdoby najczęściej z drzewa lub kości są krągłe i dochodzą wielkości obwodu dna szklanki. Nie wiszą one w uszach podobnie jak nasze kolczyki, lecz są wprawiane w dolną część ucha, która musi od młodzieńczego wieku podlegać „dilatacyom“, aby takich rozmiarów doszła. Kikuju są używani do robót ziemnych koło kolei i widziałem ich na całej linii aż pod Mombasą. W domu u siebie są nadzy, gdy jednak schodzą do robót, dostają od rządu koce. Otóż nie ma śmieszniejszego widoku dla Europejczyka, jak widzieć Kikuju w koc przybranego, a to z tego powodu, że nagi Europejczyk uważałby za stosowne całkiem inne miejsce okryć, niż czyni to Kikuju.

Pierwotna siła i płodność natury dzikiej, nie wyniszczonej i nie przetrzebionej jeszczcze ręką człowieka, objawia się w głębi terytoryum angielskiego protektoratu wschodniej Afryki, bujnem życiem wegetacyjnem i wspaniałą fauną. Chciałbym dać wyobrażenie o jej ilości i rozmaitości. Terenem mych operacyi myśliwskich, były przestrzenie, leżące mniej więcej po środku między Mombasą a Najrobi, a w szczególności okolice Vaj, Makindu, Simba i Sullan Hamud. Pierwsza z tych miejscowości położoną jest około 600 m. nad poziomem morza, trzy następne około 1500 m. W wycieczkach i marszach karawaną nie oddalałem się od toru kolejowego nad 40 klm., pomimo tego, widziałem ciągle niezliczone stada antylop różnych gatunków, gazel, zebr, spotykałem lwy, nosorożce, żyrafy, strusie. Na antylopy stepowe polowałem zwykle z nagonką; oczywiście obchodzić ona musi niebywałe przestrzenie, jeżeli step jest równy, a to w tym celu, aby otaczana zwierzyna nie widziała ludzi przed zamknięciem półkola. Gdy teren jest falisty lub pagórkowaty, ma nagonka znacznie mniej pracy, bo mniejsze koła zataczać może. Jeżeli stanowisko myśliwego wypadnie na jakiejś wyniosłości, z której daleko horyzont widać, wtedy widok jest tak niezwykły i zajmujący, że chociaż nic na strzał nie przyjdzie, epizod zostaje głęboko wryty w pamięci: Pogonki nie widać — postępuje w odległościach nie tylko dla oka ale i dla lunety niedostrzegalnych — ruchy stąd na stepie podobne są bardzo do manewrów kawaleryi — z początku małe grupy zwierza posuwają się w jedną stronę, powiedzmy na prawo od stanowiska obserwatora, bo od tej strony pogonka zaczęła zachodzić — przybierają różne kształty i postępują różnem tempem, nie można jeszcze wiedzieć, co zamierzają i jaki kierunek obiorą. Potem oko dostrzega jakąś kurzawę na froncie przed sobą — chwyta się za lunetę, bo ciekawość zbiera wiedzieć, jaki gatunek zwierza dominuje — rozpoznać jednak niepodobna, widać grupki i punkciki, poruszające się i nic więcej, aż oto z lewej strony na horyzoncie zaczyna się coś przybliżać i cały wielki step, jak okiem objąć, poczyna żyć! Małe stadka przechodzą niby przednia straż poza linię pagórka w plecy myśliwego. Następuje chwila ciszy, niby ostatecznego zastanowienia lub głuchego naprężenia, jak bywa przed burzą, lub przed atakiem kawaleryi. Przez lunetę zauważyć można tymczasem na horyzoncie pionowe kreseczki ruchome — to pogonka, czasami błyśnie broń na ramieniu mego strzelca, który ją prowadzi. Zwierzyna obserwuje niezwykłe, dwunożne stworzenia z zaciekawieniem podobnie, jak ja ją obserwuję.

(C. d. n.)

Przygoda myśliwska arcyksięcia Józefa.

W ostatnim numerze węgierskiej gazety myśliwskiej, „Budaszlap“ znajduje się ciekawy opis pióra arcyksięcia Józefa, przedstawiającego swoje spotkanie z niedźwiedziem, dziesiątym z rzędu, którego zabił. Arcyksiążę pisze:

Idąc może pięć minut, znaleźliśmy się w młodym lesie bukowym. Las jest tak gęsty, że można coś ujrzeć najwyżej na krok przed sobą. Na strzał przed siebie możnaby się odważyć na ścieżce metrowej szerokości, ale aby zabić zwierza, przebiegającego przez tę ścieżkę, potrzeba szybkiego i zręcznego strzelca. Teren opada na lewo stromo, również stromo wznosi się na prawo. Ścieżka ciągnie się może 50 kroków prosto, jak wyprężony sznurek, bez jakiegokolwiek zagięcia.

Gdym uszedł z 10—15 kroków, zdawało mi się, że z góry, z urwiska, słyszę jakiś szelest.

— Tchórz lub lis — mówię szeptem do mojego strzelca, Pisty (Stefana).

Zwierz idzie prosto na nas. Szelest staje się co raz silniejszy, można już odróżnić kroki, po których poznaję, że nie z lisem mam do czynienia.

— Może dzik — myślę.

Chwytam za broń, tymczasem w gąszczu szeleści, a łamane suche gałązki, trzeszczą. Laskę swoją zawieszam sobie zatem na lewem ramieniu; ponieważ mi jednak z nią niewygodnie, wbijam ją przed siebie w ziemię. Tu następuje chwila zupełnej ciszy. Wkrótce jednak zwiększa się szelest. Dopiero teraz poznaję, z kim będziemy mieli sposobność zawrzeć bliższą znajomość, zdejmuję zatem broń z ramienia, naciągam kurek i tak gotową do strzału strzelbę podnoszę do twarzy.

— Baczność, to jest wielki niedźwiedź — mówi Pista i trzyma również broń do strzału gotową.

— To już trzynasty, który pod lufę moją przychodzi, a dziesiąty, którego ubijam, naturalnie, jeżeli się uda — myślę w duchu i nie spuszczam przytem oka z wizyera.

Wielka, ciemna postać wychodzi z gąszczu wprost na nas. Ponieważ liczne gałązki przeszkadzają w strzale, odważyłbym się strzelać pod górę na 10 kroków tylko wtedy, gdybym wiedział, że trafię niedźwiedzia w samo czoło. Powoli wystawia głowę z gąszczu i nastawia swoje malutkie uszy. Podnosi lewą nogę i wstępuje na ścieżkę. Oddalenie między nami wynosi 7 — 8 kroków. Nie mam już czasu celować w jego łeb, gdyż mię już spostrzegł, wyszczerzył ogromne, żółtawe zęby na mnie i skacze, mrucząc, napowrót pod górę.

W tym momencie pada mój strzał. Trafiłem go w prawą łopatkę. Słyszę bolesny ryk, działający na nerwy i widzę przed sobą w powietrzu niedźwiedzia, chcącego skoczyć na mnie. Mam jeszcze czas strzelić do niego drugi raz. Kula trafia go w piersi i niedźwiedź pada o jakie pół kroku przedemną.

Chcę jeszcze strzelić. Aby jednak módz strzelić, cofam się o jeden krok w tył. Pista wyskakuje przedemnie i celuje do niedźwiedzia, podnoszącego się prawie. Widząc to, Pista cofa się także o jeden krok wstecz, upada przytem, a strzelba jego wypala. Niedźwiedź skacze na niego. Czuję, że wszystkie nerwy i muskuły są we mnie naprężone. Aby nie trafić Pisty, klękam i daję dwa ostatnie strzały do niedźwiedzia. Jedna z kul trafia go w łeb, druga w piersi. Niedźwiedź ryczy coraz wścieklej i przeskakując Pistę, rzuca się na mnie. Wstaję i chcąc zyskać na czasie i módz przynajmniej jeden nabój do magazynu naładować, uciekam. Niedźwiedź dostaje mnie jednakowoż i chce mnie przednią łapą zwalić, przyczem się trochę podnosi. Widząc to, robię wielki skok, tak, że potężna łapa tylko się o moje spodnie ociera, równocześnie rzucam się trochę w bok, na wznak na ziemię; kieruję lufę swej broni na niedźwiedzia i strzelam, nie celując. Otwór lufy znajdował się zaledwie o jedną piędź od ramion zwierza. Kula trafiła go w serce i niedźwiedź pada, przygniatając mi nogę. Czuję jego oddech, porywam swój nóż i wbijam go w leżące cielsko. Niedźwiedź nie żyje.

Nagle czuję na czole zimny pot. Podnoszę się, przychodzi mi to jednak ciężko, gdyż dopiero teraz czuję, że koniec mój był niedaleki. Kolana trzęsą się, drżę cały.

— Nie stało się wam nic, Pista? — pytam.

Widzę jednak, że mu się nic nie stało. Tylko czuję, że twarz moja jest biała, jak kreda. Twarz mojego służącego, Szücsa, równa się mojej. Szücs nie brał udziału w walce, lecz, gdy ja się ratowałem ucieczką, on uciekał także, jak gdyby go z procy wystrzelono. Cóż miał bez broni robić?

— Był to szkaradny taniec — wzdychał — Bogu dzięki, że się tak skończyło.

— Teraz wiesz przynajmniej, jak niedźwiedź wygląda.

Był to piękny, dobrze rozwinięty, czarny niedźwiedź, mający trzy do czterech lat. Łeb miał brunatny, ogromne zęby i pazury.

Pierwsze dwa, czwarty i piąty mój strzał były śmiertelne. Wszystkie wnętrzności są poszarpane. Trzeci strzał zadrasnął go po łbie. Również i kula wystrzelona z gładkiej lufy Pisty, nie chybiła. Dzielny chłopak, choć już raz przez niedźwiedzicę strasznie poszarpany, chciał mnie dzisiaj bronić.

— Nicpoń, było jedynym okrzykiem, jaki mu się wyrwał, gdy patrzał z pogardą na zabitego niedźwiedzia.

Dotarliśmy jeszcze do kilku grzbietów górskich, lecz nie byłem wstanie na cośkolwiek zwrócić uwagi. Przed oczyma miałem wciąż ten szkaradny obraz niedźwiedzia, skaczącego na Pistę. Nie prędko potem wywarło coś na mnie takie głębokie wrażenie i, gdy dzisiaj o tem myślę, czuję zimno, rozchodzące się po mem ciele i zdaje mi się, że widzę przed sobą tego ryczącego potwora z jego małemi uszyma, szczerzącego ogromne zęby i gotowego przy każdym skoku stanąć na tylnych łapach.

Cała ta walka trwała nie dłużej, jak minutę, a niedźwiedź zrobił tylko pięć lub sześć skoków. Było to dziwne uczucie. W największem niebezpieczeństwie wobec śmierci, zachowałem największy spokój, a wszystkie moje nerwy i muskuły były tak naprężone, jak gdyby silny prąd elektryczny przechodził przezemnie. „Łowiec Polski“.



Korespondencye.

Batiatycze, 5. listopada 1907.

Doczekawszy św. Huberta, postanowiliśmy starym zwyczajem uczcić patrona, polowaniem z chartami. Przy mroźnym, lecz pięknym dniu — wyjechaliśmy w 26 koni — a wzięli udział oficerowie stojącego w Żółkwi załogą 9 pułku dragonów. Zając w myśl wszelkich reguł myśliwskich zahecowany, klaśnięciem harapu zbudzony z poobiednej drzemki, pomknął!...

Gromkie wyczha... i śliczny galop *par force* malowniczy przedstawiał widok, a szarak to sprawił, że krew zawrzała w żyłach, bo każdy chciał być — pierwszym, i szarak także, bo pierwszy dopadł — do lasa!

A my, kontenci i rozbawieni zasiedliśmy do obiadu w kasynie oficerskiem, gdzie i Panie wzięły udział w tem myśliwskiem święcie, a w duszy każdego była jedna myśl serdeczna: św. Hubercie, dozwól nam za rok doczekać!...

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Dyskusya poruszona w ostatnim „Łowcu“ w sprawie użyteczności puhacza przy tępieniu drapieżnych ptaków, a w szczególności gołębiarza, spowodowała mię do napisania kilku słów z własnej praktyki.

Z puhaczem żywym nie polowałem nigdy, wypchanego próbowałem w studenckich czasach na wakacyach, lecz bez skutku.

W naszych stronach łapiemy gołębiarze w klatki nastawione, a na przynętę daje im się gołębie, dopóki śniegu niema, białe, gdy śnieg upadnie, czarne lub ciemne. Rezultaty osiągnęliśmy tak świetne, że rzadko w naszych stronach, by kurnik długo przebywał, jeżeli bowiem nie padnie od strzału, co zdarza się rzadziej, na smaczną przynętę, jaką dla niego są gołębie — łatwo go złapać. Że jastrzębie nie obznajmiają się z tą łapką, przytaczam przykład. Jadąc w zimie saniami, zobaczyłem gołębiarza w klatce, lecz sieć nie była spuszczona; bił na gołębia pod kratę. Spostrzegłszy mię, rzucił się do ucieczki, nie w górę, gdzie nie było sieci, lecz na ściany — przyczem tłukł się po nich kilkanaście razy. Myśląc, że sieć spuszczona, podjeżdżałem spokojnie, nie biorąc do ręki strzelby. Kiedy zbliżyłem się już na jakich 10 kroków, znalazł otwór i uciekł. Odtąd przyrzekłem sobie nie zbliżać się bez strzelby do klatki z jastrzębiem, choćby naprawdę złapanym. Gołębie były zabite przez jastrzębia, niezrozumiałym sposobem dostał się do nich. Zostawiłem klatkę otwartą z niedojedzonymi gołębiami i odjechałem. W godzinę wracając tą drogą, miałem tego samego jastrzębia, ale już naprawdę złapanego. Była to olbrzymia samica. Otóż taki bystry ptak, dał się złapać tak łatwo po raz drugi, przy rzucaniu o ściany pokaleczył się trochę, a i to go nie odstraszyło, kiedy drugi raz w przeciągu godziny do klatki się złapał.

Sądzić z tego można, jak zajadły jest ten ptak, kiedy na widok zdobyczy, ślepym się staje na grożące mu niebezpieczeństwo.

Zeszłej zimy złapało się parę tych dużych (skandynawskich) myszołowów do klatki, widocznie z głodu — wskutek dużych śniegów i one brały się do ptaków mniejszych, a i nieraz tego roku widziano przed nimi uciekające kuropatwy. Częściej łapią się w nocy do klatki, sowy, widać i one na ptaki łakome.

Muszę tutaj przytoczyć, jakie ciekawe zjawisko mieliśmy 2 lata temu z jastrzębiami, z moskalami (? Red.) i innymi oprócz gołębiarzy. W otawach, przed samą ich kośbą, kiedy trawy sięgały do pasa, spostrzegliśmy z sąsiadem p. K., przed samym zachodem słońca, zapadające jastrzębie na łąkach. Ile ich było, na razie nie mogliśmy widzieć, gdyż działo się to przed samym wieczorem, kiedy zmrok zapadał, nisko nad ziemią ciągnęły i nagle bez krążenia cicho zapadały. Wyszliśmy więc na łąkę i idąc jeden obok drugiego na 50 kroków, wydeptywaliśmy je literalnie na 5 kroków, strzelając naturalnie bez liku z powodu ciemności, rezultatem było zawsze 2 do 5 jastrzębi. Spłoszyliśmy w ten sposób około 20 jastrzębi. Strzały były trudne, gdyż tylko blisko jastrzębia można było widzieć i to wtedy, gdy wzbił się zaraz po nad tło ciemne ziemi, inaczej posłyszeliśmy tylko uderzenia skrzydłami i ptak uciekał ponad samą trawą, strzał padał, a jastrząb poszedł lub ginął nieznaleziony. Trzymały się one w tych trawach z tydzień. Innych lat tego nie widziałem. *)

Ciekawe było dla mnie również pewne spostrzeżenie, o wytłómaczenie którego uprzejmie proszę. W zimie zeszłego roku spostrzegłem w kilku miejscach ciągnący się od rzeki do rzeki ślad na śniegu, mniej więcej 20 cm. szeroki, o ostrych brzegach, a na nim dopiero stopy, zdaje się wydry; znak ten zaczynał się zaraz przy jednej przerębli, a kończył przy drugiej rzeczce, w drugiej przerębli. Tłómaczyłem sobie, że była to wydra, która coś przed sobą pchała, co to było jednakże, wytłómaczyć sobie nie mogłem, ryba byłaby tak ostrego znaku nie robiła i nie byłby znak ten tak jednakowo szeroki, dalej w innych miejscach, gdzie również podobny ślad natrafiłem, była szerokość tego śladu także sama.

B. Stamirowski.

*) Były to bezwątpienia błotniaki. (Red.)

Rożniatów w listopadzie 1907.

Jak sen przyjemny, jak miłe marzenie, zeszedł nam tydzień cały od 3—10 b. m. Św. Hubert dał nam sposobność zapolowania na terenach bardziej przez zwierzynę zamieszkałych, jak nasze, toteż w miłej kompanii skorzystaliśmy z tego, przeżyliśmy tydzień miły, który pozostanie w pamięci na życie całe — który będzie w szarej, jednostajnej kanwie życia naszego, nicią złotą.

Dnia 5. i 6. listopada polowaliśmy w strzelb dwanaście w Schönkirchen, majątku p. Ubysza i Janki, w rewirach folwarku Strasshof. Polowanie prowadzone świetnie przez jednego człowieka, jak składnego wojska kolumny, zachodziły bez krzyku flanki, posuwał się wolno środek i jak mąż jeden na linię wychodził. Skoro tylko odezwała się nagonka, sypały się dołem jak z rogu obfitości zające, przelatywały górą stada kuropatw; gdy nagonka była tuż koło linii strzelców, całe bukiety bażantów śliczną grą kolorów znaczyły na pogodnem tle nieba w szybkim locie swe szlaki, a wówczas dołem linię przesadzały w szalonych susach króliki, małe zwinne stworzonka, za któremi duży człowiek z dwunastki hamerless często bardzo bez skutku garść śmiercionośnego posyłał śrutu. Streif polny, potem podwójny gon leśny, znowu streif leśny, menu myśliwskie bajecznie ułożone, by się za nadto nie zmęczyć i strzelać do rozmaitej i rozmaicie pomykającej zwierzyny. Dla mnie najsympatyczniejszy był streif leśny w sosnowej drągowinie, gdzie zająca tylko od przyrzutu można było strzelić i właściwie dotychczas nie rozumiem, dlaczego mi tam rulowały lepiej niż na czystem polu, gdzieśmy wszyscy właściwie tyły zajęcze zatrzymywali, a nie w ogniu rulowali.

Po dwóch dniach na rozkładzie ogółem sztuk 570 na strzałów wiadomych chyba sekretarzowi Św. Huberta, który takie daty statystyczne powinien dokładnie zapisywać. 9 sarn (strzelano i kozy) 45 bażantów, 370 zajęcy, 125 królików 18 kuropatw i 3 sztuki szkodliwej zwierzyny skrzydlatej. Do takiego więc rozkładu dodać miłych i wesołych kompanów, setki różnych dykteryjek, wieczór spędzony razem w sympatycznej dla każdego stolicy nad modrym Dunajem, a będzie się miało całość dziwnie miłą i przyjemną.

Dodać tutaj muszę, że ostatnie nasze strzały drugiego dnia grzmiały pod Wagramem niegorzej od armat Napoleońskich.

Z pod Wiednia śladami Sobieskiego, udaliśmy się na Węgry, tylko że oparliśmy się nie o Parkany, lecz o Pillingeri p. Zdzisława Brunickiego, gdzieśmy dnia 8. i 9. bm. przekonywali tamtejsze zające o centrownem wysyłaniu śrutów z naszych krupówek. W strzelb jedenaście na rozkładzie lis, 165 zajęcy, 5 krzyżówek, 18 kuropatw.

W imieniu wszystkich uczestników dziękuję Szanownym gospodarzom za tę arcymiłą rozrywkę, nie tylko za daną sposobność zapisania w regestrze myśliwskim kilkudziesięciu sztuk, ale i za te chwile w miłej spędzonej kompanii, za oderwanie od kłopotów gospodarskich, za chwilową chociaż przerwę w myślach, nie zawsze wesołych, za tych chwil kilka jasnych, w których się przekonać można, że gdy wszystko zawodzi — strzelba nie zawiedzie! *Adam Łastowiecki.*

Monasterzec, w listopadzie 1907.

Jelenie w Samborskiem. Dziki, a nowa ustawa łowiecka.

W miejscu, gdzie stykają się granice 3 powiatów, a mianowicie: przemyskiego, mościskiego i samborskiego, znajduje się pasmo lasów, ciągnące się od Miżyńca aż do Krukienic.

W lasach tych, położonych w stronie północno-zachodniej od miasta Sambora, przebywają od lat kilkunastu stale jelenie.

Są one potomkami owych jeleni, które przed kilkunastu laty, ze zwierzyńca ś. p. ks. Adama Lubomirskiego w Miżyńcu — wskutek uszkodzonego ogrodzenia — w lasy się wyniosły.

Stan obecny jeleni w tych lasach ma być znacznym, gdyż n. p. jak opowiada p. M., dzierżawca Rogoźna w pow. tutejszym, widzi on często po kilkadziesiąt jeleni na polach pod lasem, z których kilka dobrych byków już w tym roku ubił.

Obecnie mam do zanotowania fakt pokazania się jeleni w południowej stronie powiatu, t. j. na podgórzu, a mianowicie w lasach Monasterca i Łopuszny.

Podczas polowań na słonki i jarząbki z wyżłem, spotykałem tropy jeleni, a idąc za nimi, znajdywałem legowiska i olbrzymie ich „karty wizytowe“, co mię przekonało, że doniesienia służby leśnej, tak tutejszej, jak i z Łopuszny, iż widują jelenie już od kilku miesięcy — nie polegają na nieznajomości lub optycznem złudzeniu.

Jelenie te przybyły zapewne z gór, gdzie wskutek lepszej ochrony rozmnażając się — schodzą już i na podgórza. Już przed kilku laty przebywała w tutejszej okolicy para jeleni. Niestety, leśny barona Liebiga w sąsiednim lesie ubił byka — poczem i łania stąd się wyniosła.

Pojawienie się powtórne jeleni w tutejszych lasach podgórskich uprawniaćby nas mogło do optymistycznych nadziei na przyszłość, gdyby nie nowa ustawa łowiecka, która z powodów niżej przytoczonych do tego doprowadzi, iż kłusownictwo nie tylko nie straci na sile, ale przeciwnie jeszcze więcej się rozpowszechni, wobec czego nie tylko jeleni, ale jaki taki stan sarn, trudno nam będzie utrzymać.

Nowa ustawa każe wynagradzać wszelkie szkody w ziemiopłodach, uczynione przez dzikie zwierzęta, w pasie 500 metrowym od lasu, właścicielom lasów, a w dalszej odległości od lasów, dzierżawcom polowań gminnych. Czasopisma ludowe i demokratyczne ze „Słowem Polskiem“ na czele, widzą w dotyczących paragrafach ustawy, „częściowe spełnienie słusznych żądań ludu“.

Dobrze! gdzie chodzi o szkody wyrządzone przez zające, sarny, a nawet jelenie, niechby tak było, bo ta zwierzyna nie wyrządza wielkich szkód w polach, chyba, że znajduje się w wielkiej ilości, co w naszym kraju do rzadkości należy, powtóre zwierzęta te nie zmieniają często stałej ostoi.

Inaczej ma się rzecz z dzikami. Mamy tu n. p. dziki stałe i przechodnie, lecz daleko więcej jest tych ostatnich. I pierwsze i drugie wyrządzają w polach wielkie szkody. Dziki przechodnie przebiegają często nocą lasy kilku właścicieli i wyrządzają dopiero na polach przy lesie ostatniego właściciela znaczne szkody. W miesiącach letnich trudno jest po tropach skonstatować, z którego lasu dziki wyszły. Za szkody wyrządzone w pasie 500 m. od lasu musi podług nowej ustawy odpowiedzieć właściciel ostatniego lasu, który też otrzyma zgłoszenia o wynagrodzenie.

Ludowi stanie się sprawiedliwość, lecz gdzie będzie sprawiedliwość dla tego nieszczęsnego obszarnika, z którego lasu dziki na pola wyszły, a który może nawet wcale dzików stałych w lesie nie ma? Dziś stawiają chłopi budy na polach, nocują w nich, trąbią i nawołują lub przywiązują psy, dla odstraszenia dzików.

Po wejściu w życie nowej ustawy, wszystko to ustanie, bo na co — jeżeli szkody wynagrodzone być muszą przez właścicieli lasów i dzierżawcę. Następstwem tego będzie, że szkody będą jeszcze większe niż dzisiaj i że wskutek tego różne kłopoty ze zgłaszającymi się, ugodami i sądami polubownymi zwalą się na barki tych t. zw. „obszarników górskich“.

Sąsiedzi, z którymi mówiłem o nowej ustawie, są zdecydowani, nie tylko nie brać polowań gminnych w dalszą dzierżawę, ale nawet teraźniejszą dzierżawę z dniem wejścia w życie nowej ustawy przez dotyczące Starostwo wypowiedzieć. I rzeczywiście trudno w tutejszych warunkach wymagać, aby przy kłopotach z 500 m. pasem granicznym, brali na siebie jeszcze odpowiedzialność za cały obszar gminny.

Polowania takiego nikt więcej nie weźmie nawet za darmo w dzierżawę, bo i taki myśliwy z miasta, namyśli się, gdyż mu przyjdzie prócz kłopotów, nastawiać sakiewki za szkody wyrządzone — może nawet codziennie przez dziki, za bardzo wątpliwy rezultat z polowania gminnego.

Skutek będzie na koniec ten, że gminy podgórskie i górskie stracą dotychczasowe, stosunkowo dość znaczne czynsze dzierżawne za polowania, wójtowie będą zmuszeni wynaleść w myśl ustawy strzelców gminnych, którzy za opłatą roczną lub za „strzałowe“ — swój urząd w ten sposób sprawować będą, iż przedewszystkiem starać się będą wykazać, iż mają kwalifikacyę ku temu — strzelając jak najwięcej. Ze strzelcem lub prócz niego polować będą różni kumowie i swatowie, a gdy już nie będzie szaraka lub kuropatwy na polu — co bardzo prędko nastąpi — będą szukać urozmaicenia pod lasem lub w lesie, co jak wyżej nadmieniłem — chyba tylko kłusownictwo do kwitnącego stanu doprowadzi.

St. Frankiewicz.

Zielona w listopadzie 1907.

„Kiść lub fiołek, biały koniec kity lisa“. Tak pisze hr. A. Sumiński w Słowniku łowieckim w Łowcu Nr. 21 z dnia 1. listopada b. r.

„Kiść“ i biały koniec kity, na to się zgadzam. Ale „fiołek“, to zupełnie co innego!

O tym „fiołku“ wiele się opowiada i od wielu lat, jeszcze w szkołach, o nim słyszałem. Na zapytanie me, nikt nie dawał konkretnej odpowiedzi, zbywano mię czemkolwiek, a w szkołach też nic nie mówią na lekcyi zoolo-

gii o „fiołku“. Ale przecie się dowiedziałem. Jeden ze „starej daty“ myśliwych powiedział: daj mi lisa zabitego. choćby po kilku godzinach, a objaśnię cię, co to „fiołek“, I pokazał.

Od nasady ogona, na 10 do 12 cali, na wierzchu, wyrwał pęczek czarnych włosów, a powąchawszy je, uczułem najprzyjemniejszy zapach fiołków! I to miejsce nazywa się „fiołkiem“.

Lis układając się do snu, tam kładzie nos, dlatego starzy myśliwi mówią, że Pan Bóg dał lisowi „fiołek“, by swego własnego odoru nie czuł, który jest przysłowiowym.

Używają też nazwy „kwiatek“ zamiast „fiołka“, którą odróżnić trzeba od „kwiatu“. *W. S.*

KRONIKA.

Drapieżność kawki. Wiceprezes gal. Towarzystwa leśnego, p. Cyryl Kochanowski, pisze w „Sylwanie“:

Kawkę uważamy wszyscy za ptaka, którego przymioty dodatnie są wielce cenione, a ujemne bardzo małe. Ptak ten jednak nie umie ukryć swej dzikiej natury, gdy się do tego nadarzy sposobność. W mojem oknie we Lwowie urządziłem sobie miejsce obserwacyjne i przypatrywałem się często, jak kawki obsiadujące kościół św. Mikołaja, dobierały się do jabłek w ogrodzie parafialnym, kiedy owoce były najdojrzalsze i zdaleka świeciły swą barwą, nęcąc tem samem i kawki. Natomiast na ganku w podwórzu urządza żona moja miejsce dla hodowania wróbli w porze zimowej i hoduje znaczną ich zgraję. Do pożywienia wróblom podawanego przyłączyły się niebawem dwie kawki, biorąc udział w ucztach i żyjąc w jak największej zgodzie z wróblami. Przebywały prawie bez przerwy w przyległym ogrodzie na drzewach, lub też na dachach sąsiednich kamienic. I wszystko było w porządku. Jednego dnia, stojąc przy oknie, zauważyłem, że na drzewie przed memi oknami usiadł wróbel, któremu z nóżki zwisał sznurek na 30 cm. długości. Widocznie złapały go gdzieś łobuzy miejskie, a przywiązawszy sznurek do nóżki, puściły znowu w świat. Sznurek ten stał się zgubą dla wróbla. Posiedziawszy bowiem jakiś czas na drzewie, zabierał się do dalszej wędrówki i podniósłszy się, w tej chwili zawisł na sznurku, który przy siadaniu wróbla na drzewie, owinął się o gałązkę. Zaczęły się próby oswobodzenia, lecz nic nie pomagało. Za chwilę jednak przyleciała jedna z naszych kawek, zwabiona widocznie trzepotaniem się wróbla i siadła niedaleko niego. Jakiś czas przypatrywała sie sytuacyi z widocznem zainteresowaniem. Niebawem jednak przysunęła się do wróbla, który tem silniej zaczął się szamotać i za chwilę padł pierwszy cios jej dzióba na wróbla. Następnie ciosy były coraz gęściejsze, siły wróbla coraz mniejsze, a po pewnej chwili został z wróbla tylko sznurek na drzewie i kawałeczek nóżki, reszta zniknęła w żołądku kawki. Po tym przygodnym obiedzie udała się kawka jeszcze na żerowisko wróble na moim ganku, gdzie na deser w towarzystwie wróbli zjadła jeszcze okruszyny i żywność tam leżącą.

†

Stanisław Matkowski

właściciel dóbr ziemskich, żołnierz z r. 1863, były poseł na Sejm krajowy, członek Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, Prezes gal. Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich, zmarł nagle we Lwowie dnia 3. grudnia 1907, w 65 r. życia.

Śmierć w tym roku obfitą zbiera kośbę wśród członków naszego Towarzystwa. Znowu ubył z jego grona jeden z najstarszych członków, jeden z największych jego przyjaciół, a strata tem boleśniejsza, bo niespodziewana.

Zmarły stracił przed dwoma zaledwie tygodniami matkę (Zofię z hr. Dzieduszyckich), i któż mógł przypuszczać, że tak wkrótce podąży za nią w świat lepszy, osierocając krewnych i przyjaciół.

Łowiectwo nasze traci w zmarłym szczerego opiekuna, bo kochał je i wszystko, co się z niem wiązało, gorąco. Zamiłowany myśliwy, nie szczędził kosztów i trudów dla utrzymania i rozwoju łowiectwa w swoich dobrach i pozostawił je w kwitnącym stanie. Jako krewny i przyjaciel ś. p. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, brał udział w tych świetnych, tradycyjnych łowach poturzyckich i był może już ostatnim, żywym ich świadkiem.

Jako prezes pierwszego naszego Klubu kinologicznego, zajął się sprawą gorąco i szczerze i wielkie położył zasługi około założenia i rozwoju młodej tej instytucyi, która ponosi teraz przez śmierć Jego niepowetowaną stratę.

Z ś. p. zmarłym schodzi też do grobu jedna z tych ostatnich, typowych postaci szlachcica polskiego, z lat dawno ubiegłych, postać, jakby stworzona do kontusza i karabeli, twarz stworzona do kołpaka z czaplem piórem, klasycznie typowo polska, zdjęta z ram starego portretu naszych dziadów, niesłychanie pociągająca i sympatyczna.

Był to człowiek wielkiej prawości i szlachetności, trzeźwego umysłu i wielkiej inteligencyi, ale najwybitniejszym rysem zmarłego, była wielka ofiarność i uczynność. Dla przyjaciół prawdziwy przyjaciel w szczęściu i nieszczęściu, dla podwładnych i służby ojciec, dla ubogich dobroczyńca. Nie było łzy, którejby nie otarł, a czynił to cicho, bez rozgłosu, by lewa ręka nie wiedziała, co prawa czyni.

Dziś u wrót grobowca, żegna żałobą okryte Towarzystwo nasze, swego wiernego przyjaciela, również żałobą okryty Klub, swego pierwszego prezesa w imieniu wszystkich swoich członków.

Ci, którzy Go bliżej znali i tembardziej czcili i kochali, którzy z Nim razem trudy myśliwskie dzielili, którzy w gościnnym dworze sokołowskim miłe chwile spędzali, a w ślicznej Jego kniei odświeżali umysł i siły, ci z bolesnem i łzawem westchnieniem rzucają garść ziemi na mogiłę nieodżałowanego przyjaciela i towarzysza broni.

A. M.

Słownictwo łowieckie.

N.

Na-na-na-na-na... tu, wołało się donośnie, polując z psami, gdy się zwierza chybiło, zaś, „Hoho... hoho... hoho... hoho...“, gdy się go ubiło, i zachęcając psy do dalszego polowania „Hu... poluj... go... ha“.

Na oko, gdy pies goni, widząc zwierza, nie po tropie.

Na miejscu, gdy zwierzyna strzelana pada bezpośrednio po strzale.

Na sztych, gdy zwierzę wyjdzie na człowieka wprost, oko w oko.

Nabiec, zmordować psy polowaniem.

Nabój, składa się z łuski, prochu, przybitek i śrutu lub kuli.

Nadlotka, najpierwsze pióro w skrzydle u ptaka.

Nadoczne, są odnogi pierwsze po ocznych, a więc drugie z rzędu, licząc od róży u wieńca jelenia.

Naganka, ludzie używani do napędzania zwierzyny podczas polowania.

Naganiacz, tyle co obławnik, człowiek należący do naganki.

Naraszczać, popęd płciowy zaspokajać, mówiąc o bażantach.

Naraz, podatek w dawnych czasach, który poddani obowiązani byli dawać panom swoim na karmienie psów, taki, jak bobrowe, sokołowe i t. p.

Narogi, wnętrzności u zwierzyny.

Nasada strzelby, jej okucie i ozdoby.

Nasadka, 1. pułapka na lisy i tchórze, 2. ptak siedzący na jajach; n. p. ubił kuropatwę nasadkę.

Naśladnik, pies, który za innym w tyle goni.

Nastawek, pal w dole wilczym, na którym jest krąg drewniany z pręcikami, słomą przykrytymi.

Nastroga, 1. deska z wagą nad wilczym dołem, 2. przynęta dla zwierza położona.

Naszczekiwać, szczekać w jednem miejscu.

Naszczuwanie, zachęcanie psów do gonienia.

Nawara, potrawa przygotowana dla psów.

Nawiązka, sidło z przynętą.

Nawłoka, powróz, na który nawleka się brzeg sieci.

Nawoływać, psy do gonienia.

Nazimek, także **nazimiec,** zając jesienny.

Naznaczony trop, ślad zwierza, po którym jnż psy goniły.

Nęcisko, miejsce, na którem łowią się zwierzęta i ptaki za pomocą przynęty.

Nęt, nęta, nętka, ponęta, przynęta, wnęt, wszystko oznacza pokarm, którym przynęcić można zwierzynę.

Niedbały głos, gdy pies niedbale szczeka.

Niedokunka, młoda kuna niewyrosła.

Niedolisek, młody lis niewyrosły.

Niedźwiedź, zwierzę należące do zwierzyny szlachetnej i drapieżnej. (*Ursus arctos*).

Nieprawek, ptak, którego ojcem głuszec, matką kura cietrzewia lub cietrzew, matką zaś kura głuszca.

Nieregularny, tyle co nieparzysty, nierówna ilość odnóg na pniach rogów.

Nieukrotny, nieoswojony, o ptakach drapieżnych.

Nieunoszony, niewyuczony do łowów, o sokole.

Niewód ptasi, sieć na kształt niewodu do łapania ryb.

Nikczemny, tyle co mały.

Niższe łowy, podział zwierzyny, liczono tam zwierzynę pospolitą.

Nor, tyle co borsuk.

Nora, tyle co jama.

Nosacizna, choroba psa niebezpieczna, którą prawie każdy za młodu przechodzi, zaraźliwa, nawet w starszym wieku.

Numer, oznacza liczbą grubość śrutu.

Numerowanie, podział śrutu według grubości, oznaczenie go liczbą.

Nur, ptak należący do ptactwa wodnego. *(Colymbus.)*

(C. d. n.)



Zapytania i odpowiedzi.

Zapytanie:

1) Czy nie jest wadą broni bezkurkowej (posiadam fuzyę firmy J. P. Sauer & Sohn, w Suhl, cal. 12), gdy igły, zbijające kapiszony, podczas stanu spoczynku wystają z baskili?

2) Czy wogóie fuzye bezkurkowe są skonstruowane w ten sposób, że po wystrzale igły nie cofają się (raczej kurki) tak jak się ma w broni kurkowej, na pierwszy spust automatycznie, przez coby igły nie wystawały, czy też podobny stan jest nienormalny i wynika z wadliwej konstrukcyi danej broni, ewent. jej popsucia?

3) Jak należy postępować, aby, gdy broń ma się złożyć na spoczynek, kurki spuścić powoli (po cichu) tak jak się to robi w broni kurkowej, przytrzymując dużym palcem kurki, aby nie obluzowywać niepotrzebnie sprężyn?

4) Czy bronie bezkurkowe wogóle są trwalsze, wytrzymalsze i praktyczniejsze od fuzyi z kurkami?

5) Czy broń wyż-rzeczonej firmy bije wogóle lepiej cienkim, czy też grubszym śrótem?

Odpowiedź:

ad 1) i 2). Przy broni bezkurkowej igły w stanie spoczynku wystają z baskili i nie mogą się cofnąć automatycznie.

ad 3) Otwiera t. j. łamie się broń, przyciska się palcami cyngle i wolno napowrót się ją zamyka, przyczem zasuwka bezpieczeństwa ma być otwartą.

ad 4) Broń bezkurkowa jest o wiele praktyczniejszą od kurkowej, gdyż może być szybciej nabijaną.

ad 5) Każda broń odtylcowa a szczególniej z wierceniem lufek „chocke“ bije lepiej cieńszym niż grubszym śrótem.



Drobne ogłoszenia i inseraty.

Magazyn broni

KAROLA BIRTUSA

w Tarnowie, ul. Krakowska l. 1,

poleca na sezon:

Broń myśliwską wszelkiego rodzaju z najlepszych fabryk po cenach najtańszych. — Wielki skład amunicyi i przyborów myśliwskich. — Rewolwery i browningi po cenach fabrycznych.

Wielki wybór najlepszych brzytew, nożyczek i scyzoryków.

Ważne dla P. T. Właścicieli polowań!

HANDEL ZWIERZYNY

P. ST. CHRYPIAK

we Lwowie, ulica Zyblikiewicza l. 7.

Zobowiązuję się zakupywać wszelkie partye zabitej zwierzyny **na miejscu polowania i w każdym czasie** (bez względu na odwilż). Zastrzega sobie dostawę do najbliższej stacyi kolejowej. Na telegraficzne zawiadomienie o mającem nastąpić większem polowaniu (60 do 70 zajęcy), gotów jestem osobiście udać się na miejsce celem odebrania zwierzyny i przepilnowania jej należytego opakowania, wobec czego odpada właścicielowi kłopot z nadaniem zwierzyny na kolej.

Ceny ofiaruję następujące:

Za 1 kg. dzika wagi do 40 kg.	K. —·50	Za jarząbka 1 sztukę . . .	K. 2·—
„ 1 „ „ „ „ 70 „	„ —·30	„ słonkę 1 sztukę . . .	„ 2·—
„ wyższej	„ —·20	„ kuropatwę 1 sztukę . .	„ 1·—
„ 1 „ rogacza	„ —·80	„ cietrzewia 1 sztukę . .	„ 2·40
„ 1 sztukę zająca	„ 2·—	„ kaczkę krzyżówkę 1 sztukę	„ 1·—
„ 1 parę bażantów . . .	„ 4·80	„ kaczkę cyrankę 1 sztukę	„ —·80

Oryentalne DYWANY i strzyżone

PORTYERY, FIRANKI, KAPY, MATERYE NA MEBLE

od najtańszych do najgustowniejszych

oraz największy skład **TAPET** i WSZELKICH DEKORACYI POKOJOWYCH od najtańszych do najgustowniejszych (imitacya skóry, płótna, sukna, jedwabiu), których wzory wysyła opłatnie

Lwów, ul. Akademicka 2 W. ADAMSKI **Lwów, ul. Akademicka 2**

Perfumerya

Alfred Dzikowski

Bronzy francuskie

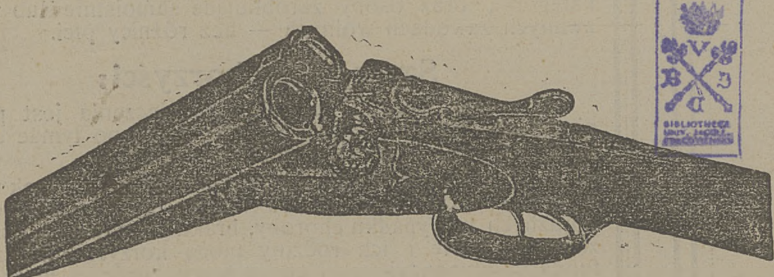
c. k. nadworny dostawca

we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1

poleca swą

jedyną w kraju fabrykę broni

odznaczoną na wystawach krajowych i zagranicznych najwyższemi nagrodami.



Główne zastępstwo dla Galicyi i Bukowiny fabryk broni J. P. Sauera i W. Collatha

Browningi, rewolwery i floberty we wszystkich systemach i gatunkach.

Największy skład przyborów myśliwskich.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**